

Wiedząc, że słynny Bill Hickok przyjeżdża do Deadwood rozeszła się szybko i wywołała w miasteczku niemałe poruszenie. Oto bohater, uszyty na miarę trudnych czasów postsecesyjnej Ameryki, który sprawiedliwość prochem wymierzył już ponad stu złoczyńcom, przyjeżdża do miasteczka poszukiwaczy złota, wyjętego spod jurysdykcji Waszyngtonu i owianego reputacją moralnej zgnilizny.

- Czy on myśli, że może zaprowadzić tu swój porządek? – pytali się nawzajem ludzie z pewną przekorą i wyzwaniem, półzłotym ćwierćśmiechem. Niewielu z nich bało się wprowadzić śmierci z rąk Dzikiego Billa, bo ostatecznie uważali bez wyjątku, że istnieją rzeczy znacznie bardziej przerażające niż śmierć. Gdyby było inaczej, nie przyjeżdżaliby tutaj. Obawiali się bardziej, że Bill sprowadzi ze sobą do miasta inne ich lęki. Z początku nawet Al Swearengen, właściciel miejscowego zamtuza i jedna z potężniejszych figur Deadwood, pomimo że sam kładł drwa pod wszelkie szeptanki, które miałyby Dzikiego Billa obdrzeć z legendy, do pewnego stopnia obawiał się jego przyjazdu.

Pod stos nie trzeba było zresztą zbyt wiele dokładać. Chodziły pogłoski, że Dzikie Bill podupadł ostatnio na zdrowiu, że ledwie patrzy na oczy i widać mu bielmo, że stracił swój refleks, a przede wszystkim, że nie ma już żadnej motywacji, a czynne rozróżnianie dobra od zła przestało sprawiać mu satysfakcję. Przez ostatnie lata widywano go w Montanie jak przesiadywał w saloonach, rozbijając ostatnie pieniądze na burbon i pokera. Mówiono, że gdyby dorzucił do tego tanie kurwy i opium, chwycił do ręki durszlak i kilof, stanowiłby idealny profil kandydata na mieszkańca Deadwood.

Wreszcie, na dwa dni przed przyjazdem Dzikiego Billa, Swearengen dowiedział się od swoich starych wspólników z Cheyenne, że kilka miesięcy temu ten wielki, mityczny nieomal Hickok poślubił tam jakąś starą raszplę i został jej utrzymankiem.

Owego wieczoru do 'Gem Theater' Swearengena przywieziono świeży towar z Dakoty. Al zaprosił wszystkie nowe dziewczyny i swoją ulubienicę, Clementine, do alkowy, otworzył butelkę burbonu. Odetchnął, pomyślał, że niezbadane są ścieżki Pana, a także, że na przyszłość nie powinien się tak wszystkim przejmować.

Tom Nuttall, przysadzisty facet z jowialnym wąsem, z gracją zaprawionego barmana wycierał właśnie szkło starą szmatą, kiedy Dzikie Bill stanął w jego podwojach. Tom rozpoznał celebrytę z portretów od razu, po jego zamaszystym wąsie, kwadratowej szczęce i wysmukłej budowie. Nie spanikował i nie dał po sobie poznać ekscytacji, która wynikała z niewątpliwych korzyści, jakie sława jego nowego gościa mogłaby przynieść dla interesu. Patrzył się Hickokowi wprost w przymglony oddech jego błękitnych rogówek, które przez długą chwilę krążyły po lokalu nie zatrzymując się, i w jego cienkie usta, wyrażające surowość badawczą.

Nuttall, nie spuszczać wzroku, chwycił po pierwszy kieliszek, równie przemglony co oczy Hickoka, i sprawnie nalał doń swojego lepszego burbonu, a potem puścił tak napełnione naczynie wzdłuż barowej lady, że nie roniąc kropli i bez zbędnego hałasu znalazło się w zasięgu dwóch kroków od Dzikiego Billa.

Hickok spojrzał dobrodusznie na sformułowaną w ten sposób ofertę pokoju, po czym przystąpił dwa kroki i przyjął ją przez próbę wątroby. Nie zdążył odłożyć pierwszego kieliszka, kiedy w jego miejscu pojawił się drugi.

- Wygląda na to - zaczął wolno Dzikie Bill, wpatrując się w napój z pewnym apetytem - że prędko zostaniemy przyjaciółmi.

- A jeszcze się pan nawet na mnie nie spojrzał, panie Hickok – odparł Tom półzartem, choć naprawdę czuł już rosnące zażenowanie tym faktem. Nie był człowiekiem niedomówień.

Wychyliwszy kieliszek, Dzikie Bill Hickok spokojnym i płynnym ruchem zdjął swój popielaty kapelusz, a potem pochylił się lekko i opierając starannie łokcie na barze, uśmiechnął się łagodnie w kierunku barmana, marszcząc czoło.

- To dlatego, że staram się nie oceniać ludzi po wyglądzie – powiedział. – To co? Masz tu jakiś stół do pokera?

Dwa miesiące później Dzikie Bill Hickok spędzał swoją setną, zdaje się, noc w saloonie Nuttalla. Miał już ulubioną miejscówkę, pod ścianą, skąd mógł obserwować całe pomieszczenie. Hickok bardziej od śmierci strzałem w plecy bał się tylko śmierci z miłości i nigdy nie dopuszczał do postawienia się w sytuacji umożliwiającej zajście go od tyłu. Zwłaszcza teraz, gdy wzrok zaczął go zawodzić, ostrożność była szczególnie wskazana.

To była ta noc, w którą chłystek McCall zgrał się do ostatniego grosza. Przyszedł obrośnięty w pióra z grudką złota wydobytą popołudniu z rzeki, zastawił ją u Toma za trzysta dolców żetonów i przegrał wszystko z Chudym Pete'em, który miał tego dnia złotą passę. Porywczy McCall rzucił się potem do gardła Chudego z zarzutami szulerstwa, ale Dzikie Bill uciął wszystko ostrzegawczym wystrzałem z rewolweru, który wycelował później w McCalla z życzeniami dobrej nocy i spokojnego powrotu do domu.

- Jak tak dalej pójdzie, stanę się konkurencją dla George'a Hearsta^[1] – żartował potem Tom Nuttall, przewracając w dłoniach niewielką złotą bryłkę.

Było już dobrze po świcie, w saloonie zostali właściwie sami, tylko wśród chrapania starego Cona Stapletona, który od godziny sprawdzał miękkość blatu.

Bill zajął krzesło przy barowej ladzie, twarzą do drzwi wejściowych, po czym wsparł dłoń na kolanie. Ułamek sekundy i już trzymałby w dłoni naładowany rewolwer, gdyby pojawił się w nich ktoś niepro-

szony.

- Skrzypią. Usłyszysz jak ktoś będzie wchodził – zapewnił Tom.

Hickok przytaknął milcząco i na znak zrozumienia wychylił kieliszek burbonu.

- Coś jest nie tak z tym chłopakiem, McCallem – powiedział posępnie.

- Masz coś na myśli, Bill?

- Zwykle młodzi grają, bo chcą mieć parę zielonych więcej na burbon i cipki u Swearengena. Ten szur znalazł dziś bryłę złota, która zapewniłaby mu cały harem na pół roku, albo i dłużej.

Tom zaśmiał się, jakby z nutą nostalgii.

- Nie jest z nim nic nie tak – skonstatował rad, że może podzielić się swoją mądrością. – Albo inaczej, jest tacy jak wszyscy. Po prostu czasem jeden pocałunek albo spojrzenie nawet kosztuje więcej niż czterdzieści dziewic u Swearengena. Niech mały McCall cieszy się, jeśli na stół musi wykladać tylko pieniądze.

Bill prychnął ze zrozumieniem.

- Daj mi jeszcze jedną butelkę, Tom.

Barman posłusznie odkorkował butelczynę jakiegoś kiepskiego bimbru od żółtków. Hickok płacił kiepsko i raczej nieregularnie.

- Znałem kiedyś taką dziewczynę – zaczął Bill. – Nadine. Miała błękitną krew i wiedziała najlepiej jak mną zakręcić.

- Tobą? – dopytywał z niedowierzaniem Tom. - Wielkim Billem Hickokiem?

- Nie byłem wtedy znany z tego co dziś. Robiłem różne dziwne rzeczy. – Bill pociągnął łyk wprost z butelki, wykrzywiając twarz w lekkim grymasie. - To ona mnie zmieniła.

- Ożeniłeś się z nią?

Dziki Bill zaśmiał się głośno i trochę z żalością.

- Nie – zaprzeczył. - Nie zgodziła się.

- Dlaczego?

- Powiedziała mi, że jestem ‘moralnym relatywistą’.

- A co to, do diabła, znaczy?

- Nie wiem, do końca. Nie znam francuskiego. Mówiła dużo słów, których znaczenia nie rozumiałem.

- Wiesz, o co mogło jej chodzić?

- Chyba tak – powiedział Bill. – Wyjaśniła mi kiedyś, że jestem człowiekiem bez Boga i bez sensu w życiu, że nie mam przez to żadnego punktu odniesienia i że rozpoznaje dobro od zła w zależności od tego, gdzie ona je zobaczy.

Tom Nuttall był podekscytowany pijacką wylewnością Hickoka. Wiedział, że jeśli spisze tę rozmowę, będzie mógł sprzedać pismakom świetną historię za duże pieniądze. Oczywiście, dopiero kiedy znajdzie się od Dzikiego Billa na bezpieczną odległość co najmniej dwóch stanów albo jednego oceanu.

- I co jej powiedziałaś?

- Że jestem rewolwerowcem. A ona moją prawą ręką. I że jej ciało podoba mi się bardziej od ciała Chrystusa.

- A potem? – zapytał Tom, dając po sobie poznać zniecierpliwienie.

Bill spojrzał na niego, potem westchnął, wziął poważny łyk kitajskiego bimbru i odpowiedział, spoglądając się gdzieś w prawo tymi swoimi przemglonymi, nieobecnymi oczami.

- Potem uderzyła mnie w twarz. Więc sprąłem ją na kwaśne jabłko i poszedłem. Jestem mężczyzną.

Hickok wstał wolno i zamaszyście, wywracając przy tym półpełną butelkę, której zawartość popłynęła po barowej ladzie.

- Najebałem się – oznajmił. – Idę rzygać.

‘Gem Theater’ Ala Swearengena znacząco różniło się od saloonu Toma Nuttalla i było jednym z tych miejsc, do których Dzikie Bill Hickok zaglądał raczej niechętnie. Przeszkadzały mu głośne śpiewy pijanych ludzi, rubaszna atmosfera bajzelówek kokietujących niby niewinnie wszystkich niedomytych poszukiwaczy złota, spekulantów i miejscowych rzezimieszków (tak jakby podlegało jeszcze jakiejś wątpliwości, że zaraz każdy z nich po kolei będzie brał je na wszystkie sposoby), a tłok po prostu budził jego obawy o życie.

Swearengen od pierwszego dnia przyjazdu Billa do Deadwood starał się go namówić na odwiedziny. Oferował mu darmowe dziewczyny, nielimitowany alkohol i pieniądze za opowiadanie kilku podkoloryzowanych anegdotek z życia. Hickokowi natomiast szybko kończyły się dolary, jego przyjaciel, z którym przyjechał do Deadwood - Charlie Utter - wyjechał z pilną sprawą na parę tygodni, a żona nie była skora do wysyłania mu tłustych czeków, kiedy był poza Cheyenne. W końcu więc, pewnego sierpniowego wieczoru, zgodził się wpaść do Swearengena za dwadzieścia zielonych i butelkę dobrego burbonu z Tennessee.

- Podesłę ci moją najlepszą dziewczynę, żeby dotrzymała ci towarzystwa – powiedział Al Swearengen.
- To niepotrzebne.
- I tak wyślę.
- Okej.

Wieczór w ‘Gem Theater’ potoczył się według prawdopodobnego scenariusza. Oficjalna wizyta legendy ściągnęła do lokalu sporą rzeszę ciekawskich ludzi z okolicy. Pojawił się m.in. Con Stapleton, Jack McCall, a także nowy szeryf, Seth Bullock. Na chwilę pozwolono zajrzeć nawet żółtkom, którzy w nosie mieli co prawda Dzikiego Billa, ale mogli napatrzeć się na śniade dziewczyny.

Bill wychylił niezliczoną ilość kieliszków burbonu i opowiedział kilka stałych historii. Zagrał na mandolinie parę starych ballad, których nauczył się w czasie, kiedy próbował sił w aktorstwie, i przypisał sobie ich autorstwo. Nagrodzono go salwami gromkich braw i toastów oraz kilkoma propozycjami napadów, interesów i interesików, które po uprzejmym wysłuchaniu oschle odrzucał.

Po kilku godzinach Swearengen nakazał biesiadnikom uszanowanie prywatności zmęczonej gwiazdy i palcem przywołał małą Clementine. Wyglądała na niewinną, bezbronną dziewczynkę i mogła mieć co najwyżej z szesnaście lat. Dzikie Bill pomyślał - widząc ją po raz pierwszy, kiedy tak sunęła w jego kierunku, płynnie, jakby unosząc się w powietrzu - że widzi anioła i wydawało mu się, że przez krótką chwilę faktycznie był w stanie uwierzyć, że wszystko jeszcze będzie dobrze.

- Dzikie Billu Hickok – wylała mu truciznę do ucha, gdy zbliżyła się dostatecznie. – Legendo. Pieprz mnie dziś do rana.

Hickok westchnął.

- Siadaj, weź sobie kieliszek i polej – powiedział.

- Skoro już wyjaśniłem ci, dlaczego do niczego między nami nie dojdzie – mówił Bill – przynieś mi świeżą butelkę burbonu. A jak to zrobisz, opowiesz mi, dlaczego ten chłystek Jack McCall nie spuszcza z nas wzroku, odkąd tu podeszłaś.

Clementine otarła łzy chusteczką i posłusznie pobiegła do baru po butelkę. Wróciła szybko i uzupełniła Dziakiemu Billowi kieliszek.

- Mały Jack to głuptas – powiedziała. – Chce wziąć mnie za żonę.

Hickok opróżnił kieliszek.

- Jaki jest z nim problem?

- Robi wszystko, co mu powiem.

- To problem?

- Może po prostu nie chcę mieć męża.

Dziki Bill Hickok wbił wzrok w kieliszek. Po chwili wzruszył lekko ramionami i nalał sobie do pełna.

Clementine rozłożyła ręce.

- Po prostu nie jest tobą, Bill – wyjaśniła. – Nigdy nie dorośnie do pięt komuś takiemu jak ty. Mężczyźnie. Nie poczuje przy nim ani bezpieczeństwa, ani strachu. Nie jest ani do szpiku zły, jak Swearengen, ani tak nieskazitelnie dobry jak ty. Nie jest jakiś i dlatego nie dokona niczego. To sprawia, że nikt nigdy nie będzie pamiętać o Jacku McCall. A ja nie chcę, by zapomniano o mnie razem z nim.

Siedzieli długo w milczeniu. Czas mijał, odmierzany przez butelkową klepsydrę, której zawartość upływała w serca szybko i metodycznie.

- Co teraz będziemy robić? – zapytała zniecierpliwiona Clementine, kiedy w stół uderzyło puste denko.

- Ty pójdziesz po nową butelkę – odparł Bill. – Ja zagram w karty z Jackiem McCall.

Grali już prawie pół godziny. Clementine przyniosła burbon i usiadła Dzikemu Billowi na kolanach. McCall z trudem powstrzymywał wściekłość, twarz Dzikiego Billa nie wyrażała niczego.

Hickok wygrał trzy kolejne rozdania. W czwartym McCall wszedł *all in*. Miał mocnego fulla, na damach i dziesiątkach. Clementine zaśmiała się. Dzikie Bill rozłożył na stół karetę dziewiątek.

- Trafiło się ślepej kurze... - mamrotał ze złością McCall, który wstając od stołu chwycił już do pasa.

- Jeśli masz problem, Jack – recytował Hickok poważnie – wyjdźmy na zewnątrz i odmierzymy dziesięć kroków.

McCall poczerwieniał.

- No co jest, Jack? Przecież twoja dziewczyna siedzi mi na kolanach, a ja jestem ślepy. Możesz mnie zastrzelić, będą śpiewać o tobie stąd do Alabamy.

Jack McCall był człowiekiem porywczym, ale nigdy nie był mężczyzną dużej odwagi. Niski, piegowaty i zakompleksiony, mimo że gotując się w środku ze złości, począł w naturalnym instynkcie przetrwania wycofywać się, opuścił dłoń z pasa wzdłuż ciała. Gdyby Dziki Bill Hickok powiedział mu teraz, że ma paść do kolan i błagać o litość, czyniłby to niechybnie, choć przesiąknięty gniewem, złością i obietnicą zemsty.

Hickoka jeszcze bardziej rozgniewało tchórzostwo McCalla.

- Rozczarowałeś mnie, Jack – oznajmił szczerze Bill. – Teraz zabieram butelkę i idę pieprzyć się z Clementine.

Dziki Bill wstał z krzesła, wziął Clementine za rękę i ruszył z nią w stronę schodów na piętro. Przechodząc koło sparaliżowanego ze strachu McCalla, który drgał tylko w skrywanych spazmach gniewu, włożył mu do kieszeni marynarki dolarową monetę.

- Historia zapomni o tobie, jeśli będziesz bez grosza przy duszy – powiedział. – Weź to. Na śniadanie.

- Clementine to twoje prawdziwe imię? – zapytał Hickok.

- Nie – odpowiedziała. – Czy któraś z twoich historii była prawdziwa?

- Nie.

- Ilu ludzi zabiłeś?

- Przestałem liczyć.

- A tak naprawdę?

- Ponad stu.

- A tak naprawdę?

- Jedenastu.

- To dużo.

- To dużo.

Zbliżyła jego twarz do swojej. Ich usta mogły się zetknąć. Nie pozwolił im.

- Masz mgłę w swoich oczach – powiedziała.

- Mam mgłę w swojej duszy.

Był już poranek, całkiem pogodny i wcale już nie taki wczesny, kiedy zmęczony i nieco przepity Dzik Bill Hickok pojawił się w saloonie Toma Nuttalla.

- Tom – powiedział z łagodnym uśmiechem, znów w charakterystyczny sposób wspierając łokcie na barowej ladzie – nalej mi czegoś. Tylko nie tego chińskiego ścierwa.

Tom Nuttall wiedział oczywiście, że Bill spędził noc w ‘Gem Theater’ i nie był z tego zadowolony. Zaczął się niepokoić, że Swearengen może mu zabrać kurę znoszącą złote jaja. Pomimo że Hickok płacił mało i nieregularnie, to jego sława przyciągała do saloonu wielu bogatych i ciekawskich, którzy zostawiali dolary, żeby tylko posiedzieć w towarzystwie legendy i potem móc o tym opowiadać na ulicy. Ponadto, był też gwarantem bezpieczeństwa w lokalu. Nikt nie zginął u Nuttalla od czasu jego przybycia, co było niebywałe.

- Jasne – odparł Tom, po czym bez zastanowienia postawił przed nim całą butelczynę swojego najlepszego burbonu, wprost z Tennessee, i najczystsza szklankę, jaką miał pod ręką. – Na koszt firmy – dodał.

Dzik Bill opróżnił szklankę przy pierwszym podniesieniu.

- To nieuczciwe – wycodził bez kontekstu.

- Co jest nieuczciwe?

- Oczekiwać od kogoś, żeby był Bogiem. – Bill utkwiał przemglony błękit swoich oczu w jednym punkcie, gdzieś w innym wymiarze. – Ale w nic innego nie potrafiłem uwierzyć.

Pociągnął łyk burbonu z butelki.

- Chyba zrobiłem coś złego, Tom – mamrotał dalej Hickok. - Zepsułem chłopcu życie, bo myślałem, że jest mną. Jestem tylko dobrym rewolwerem, Tom. Nie nadaje się na rękę.

Tom Nuttall wyglądał na nieco zdezorientowanego.

- Nie rozumiem, o czym mówisz, Bill – powiedział Nuttall. – Jest późno. Nie jesteś zmęczony?

Dzik Bill Hickok z trudem podniósł się z barowego krzesła i poprawił kapelusz.

- Jestem – powiedział, jakby otrząsnąwszy się z transu. – Zagram jeszcze trzy partyjki pokera i spadam.

Tom Nuttall spojrzał się w kierunku stolika, przy którym wciąż grał Chudy Pete z paroma innymi bywalcami.

- Con Stapleton śpi na twojej miejscówce. Każę mu wypierdalać.

- Nie – zaprotestował Bill. – Niech śpi. Przekaż tylko Charliemu Utterowi, jak wróci, że czuję się zmęczony. I że sobie zasłużyłem.

Nieporuszony zdziwieniem Toma, Bill Hickok powoli obrócił się na pięcie, wspierając się ladą, a potem przeszedł spokojnie kilka kroków w stronę stołu do gry, i usiadł przy nim plecami do drzwi. Położył ręce na stole i przyjrzał się kamiennym twarzom swoich przeciwników. Zdał sobie sprawę, że jego oblicze też teraz prawdopodobnie nie wyraża niczego.

Rozdano karty. Hickok przegrał pierwsze dwie partie, wygrał natomiast w trzeciej. Poszczyło mu się, miał kolor. W czwartej dostał na ręce dwie pary: czarne asy i ósemki.

To niezłe karty, pomyślał.

Drzwi zaskrzypiały.

[1] George E. Hearst – jeden z najbogatszych ludzi w USA w XIX w., który swojej fortuny dorobił się na przemyśle wydobywczym, głównie na wydobywaniu złota. W późniejszych latach Hearst robił interesy także na terenie Deadwood, monopolizując tam pozyskiwanie tego cennego kruszcu.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Tukas, dodano 06.04.2015 14:58

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.